

Dominik Traczykowski

Uniwersytet Kazimierza Wielkiego
Bydgoszcz, Polska

O ochronie opinii mniejszościowej i uczuć w dyskusji

Wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji jest jednym z podstawowych praw człowieka gwarantowanych w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Stanowi ona ośrodek wolności obywatelskich jednostki, będąc podstawą dalszych jej praw, stąd też jako przejaw pewnego ideału można ją zdefiniować następująco: *x jest wolny w swoim słowie, gdy nie istnieje takie y, które sprawia, że x modyfikuje, powstrzymuje się od wypowiedzi lub ponosi jej konsekwencje tylko ze względu na y.*

W takim rozumieniu owym Y-kciem może być dowolna inna osoba, która przymusem fizycznym lub groźbą przemocy krępuje nam usta, może też nim być norma prawna lub społeczna, której złamanie grozi sankcjami natury prawnej (więzienie, odszkodowanie) lub natury społecznej (ostracyzm, ośmieszenie).

Taką definicję wolności słowa możemy nazwać definicją absolutnej wolności słowa. W praktyce nie występuje ona nigdzie na świecie, bowiem skrępowana jest zazwyczaj normami natury prawnej (ochroną dóbr osobistych, zakazem znieważania i zniesławiania) wywodzącymi się jeszcze z prawa rzymskiego. W związku z tym, że powyższe ograniczenia naszej wolności słowa mają swoje źródło w wolności innych osób do cieszenia się dobrą opinią społeczną, nie nadajemy tym ograniczeniom

negatywnego wartościowania, traktując je jako przejaw także naszego prawa do ochrony indywidualnych dóbr osobistych. Takie ograniczenie wolności słowa w duchu liberalizmu wydaje się niekontrowersyjne.

Dlatego też mówiąc o wolności słowa, mamy przede wszystkim na myśli względną wolność słowa, jako tę nieograniczoną żadnym innym czynnikiem poza ochroną dóbr osobistych danego indywiduum. Tak pojmowana wolność słowa stanowi przedmiot kontrowersji wynikających z pytania o jej ograniczanie, poprzez normy prawne czy normy społeczne. Dwie z tych kontrowersji orientują się w zagadnieniu, czy opinia o charakterze mniejszościowym powinna być bardziej chroniona prawnie bądź społecznie niż opinia o charakterze większościowym oraz czy prawnie bądź społecznie powinny być chronione dobra subiektywne, takie jak uczucia rozmówców.

Podziału opinii ze względu na licznosc jej propagatorów dokonał John Stuart Mill w swoim eseju *O wolności*¹. Treść tego eseju, choć historycznie stanowi jedną z podstaw liberalizmu, to jednocześnie współcześnie rodzi pytanie o to, czy nadal można rozpatrywać zagadnienie ochrony wolności słowa przez pryzmat liczebności osób wyznających daną opinię. W tradycyjnym rozumieniu tej kwestii kładzie się nacisk na ochronę opinii mniejszościowej jako tej, która władza mniejszymi zasobami i możliwościami do przeciwstawienia się opinii większości, stąd też mniejszości należy się wsparcie, by wyrównać dysproporcje w przekazie medialnym.

Chociaż proponowana przez Milla ochrona opinii mniejszościowych nie funkcjonuje w prawodawstwie polskim (prawodawstwo to bowiem ogranicza wolność słowa poprzez wprowadzenie przepisów zakazujących propagowania ustrojów faszystowskich lub komunistycznych, stosowania mowy nienawiści czy obrażania uczuć religijnych, nawet jeśli głosy takie mają charakter mniejszościowy), to jednak propozycja angielskiego myśliciela wciąż funkcjonuje w dzisiejszym świecie jako jedna z norm społecznych. Nawet pomimo tego, że ogólny dostęp do środków przekazu sprawił, że w mojej ocenie straciła ona swoje uzasadnienie.

Stojąca u podstaw ochrony opinii mniejszościowej dysproporcja w „zasięgu medialnym” została już usunięta za sprawą rozwoju technologii, a kryterium liczności odbiorców treści przestaje mieć charakter obiektywnego wyznacznika popularności danej opinii, lecz bardziej staje się miernikiem jej kontrowersyjności. W świecie mediów społecznościowych każdy może stać się publicystą docierającym do szerokiego grona odbiorców, a wartość merytoryczna wypowiedzi straciła na znaczeniu na rzecz umiejętności przyciągnięcia nowych konsumentów treści. Inaczej mówiąc, im bardziej dana opinia jest kontrowersyjna tym więcej osób się o niej dowiaduje, mniejszościowe opinie nie wymagają dzięki temu ochrony. Przy-

¹ J. S. Mill, *O wolności*, tłum. A. Kurlandzka, [w:] J. S. Mill, *Utylitaryzm. O wolności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006.

kładami takiej sytuacji mogą być poglądy Jerzego Zięby², płaskoziemców, czy ruch antyszczepionkowy, który chociaż nadal znajduje się w mniejszości, to jego treści są wysoko pozycjonowane w wyszukiwarkach internetowych, przez co – ocierające się o teorie spiskowe przekonania – zyskują na popularności.

Nadmierna ochrona opinii mniejszościowej może doprowadzić do obniżenia poziomu debaty publicznej. Pozwala bowiem, by krytyka opinii większościowej wypełniała mniej rygorystyczne kryteria dyskusji niż krytyka opinii mniejszościowej. Druga może się narazić na zarzut dyskryminacji i nietolerancji, musi zatem spełniać wyższe standardy, jak twierdzi Mill „w interesie prawdy i sprawiedliwości daleko bardziej leży powściągnięcie obelżywej mowy większości niż mniejszości”³. Jednak w dobie mass mediów i swobodnego dostępu do platform publicystycznych takie ujęcie sprawy pozbawia debatę publiczną niezbędnego dla niej balansu ukazującego po równo dwie strony prawdy. Opinia mniejszościowa jest często traktowana z przywilejami, nawet pomimo tego, że „najswoobodniejsza dyskusja nie zmienia dążenia każdej opinii do tego, aby się stać sekciarską, a często wzmacnia je i zaostrza”⁴. We współczesnym świecie zjawisko takie może być potęgowane przez mechanizmy działania wyszukiwarek internetowych oraz innych serwisów dostarczających odbiorcom treści, które nie dywersyfikują prezentowanych opinii, lecz budują nam komorę echa, tj. bańkę informacyjną, która dostarcza coraz to nowych informacji na ten sam temat, zazwyczaj wspierających naszą opinię. Przez co swobodny dostęp do środków masowego przekazu bazujących na kontrowersji sprawia, że następujące słowa Johna Stuarta Milla stały się już nieco anachroniczne:

Na ogół opinie sprzeciwiające się opiniom powszechnie przyjętym mogą uzyskać posłuch tylko dzięki przemyślanemu umiarkowaniu języka oraz starannemu unikaniu wszelkiej zbyt ostrej obrazy i tracą zwolenników, jeśli odstępują od tego w najmniejszym choćby stopniu; podczas gdy ostre nagany stronników panującej opinii rzeczywiście odstraszały ludzi od głoszenia przeciwnych opinii i od przysłuchiwania się tym, którzy je głoszą⁵.

Oczywiście można argumentować, że nawet w dzisiejszym świecie ochrona opinii mniejszościowej powinna mieć miejsce, na co można podać przykład nieprzyjemności, jakie spotkały Jana Hartmana w związku z samą próbą rozpoczęcia debaty na temat legalizacji kazirodztwa, nawet pomimo tego, iż sam uczyony nie jest

² Jerzy Zięba, urodzony 2 maja 1956 r., przedstawia się na swojej stronie www. w następujący sposób: „Całkowicie niezależny dziennikarz, publicysta, autor książek. Charyzmatyczny znawca tematów medycznych zabiegający o włączenie metod stosowanych w medycynie komplementarnej do procedur medycyny tradycyjnej, promotor zdrowego trybu życia, ambasador, promotor i twórca formułacji suplementów (...)” (por. <https://jerzyzieba.com>). W opinii środowisk naukowych poglądy Jerzego Zięby mają charakter pseudonaukowy (przyj. red. nauk.).

³ J. S. Mill, dz. cyt., s. 154.

⁴ Tamże, s. 151.

⁵ Tamże, s. 154.

zwolennikiem legalizacji takich zachowań. Jednak celem niniejszego tekstu nie jest argumentacja za brakiem jakiegokolwiek ochrony dla opinii mniejszościowej, lecz tylko argumentacja przeciwko temu, że należy się jej większa ochrona niż opinii większościowej. Format medialny współczesnej dyskusji publicznej wymaga, by dla zachowania należytego dla niej balansu chroniła wszelkie opinie, mając na uwadze bardziej nowatorstwo ich treści niż liczebność propagatorów. W przeciwnym razie grozi nam dyktatura mniejszości, czyli takie zjawisko, w którym mała, lecz dobrze zorganizowana i mocno zaangażowana medialnie grupa przejmuje kontrolę nad debatą publiczną, sprawiając wrażenie jakby poruszane przez nią problemy i wyrażane w nich stanowiska stanowiły centrum debaty publicznej, kiedy w istocie stanowią zaledwie jej peryferie.

Nadto coraz bardziej dostrzegalna tendencja, by postrzegać niektóre słowa i opinie jako przemoc, idee jako bezpieczne lub niebezpieczne, a poglądy sprzeczne z własnymi jako zagrożenie dla cywilizacji sprawia, że ochrona opinii mniejszościowej przyjmuje dzisiaj wynaturzoną formę „walki z dyskryminacją”, polegającą na represjonowaniu niektórych opinii większościowych funkcjonujących w debacie publicznej, czego przykładami mogą być sprawy profesorów Aleksandra Nalaskowskiego i Ewy Budzyńskiej. Pierwszy uczony został zawieszony w obowiązkach nauczyciela akademickiego na trzy miesiące, po tym jak w tygodniku „Sieci” opublikował felieton pt. *Wędrowni gwałciciele*, w którym krytykował ruch LGBT+, tradycyjnie postrzegany jako ruch mniejszościowy. Podobny przykład może stanowić sprawa Ewy Budzyńskiej, przeciwko której rozpoczęło się postępowanie dyscyplinarne, po tym jak studenci zgłosili, że badaczka przekazuje im treści homofobiczne, *anti-choice*, antysemitki oraz dyskryminujące wyznaniowo. Bez wątplenia jest to przejaw importowania ze Stanów Zjednoczonych idei, by na uniwersytetach zakazać wszelkich poglądów, które mogą wywoływać wśród niektórych odbiorców dyskomfort.

Sprawy te stały się medialne, ponieważ bezpośrednio dotyczą uczonych akademickich, to jest członków społeczności, która w tradycyjnym postrzeganiu zadań uniwersytetu ma właśnie stać na straży swobodnej debaty i wymiany myśli. Stały się zaś możliwe poniekąd dlatego, że nastąpiła zbyt duża ingerencja władzy (bądź w postaci władz uniwersytetów, bądź w postaci władz państwowych) w przebieg debaty publicznej. Prawodawcy ci mając na celu ochronę dóbr subiektywnych, takich jak uczucia (szczególnie uczucia wszelkich mniejszości) zbyt daleko odeszli od wolnościowych wytycznych swobodnej dyskusji. Nie można przy tym odmówić władzom uczelni dobrych intencji. Z jednej strony bez wątplenia były przekonane, że idą w sukurs wszystkim uciesnionym i dyskryminowanym, z drugiej zaś intuicyjnie realizowały wytyczne prawne będące „wyrazem prewencji ogólnej i prewencji szczególnej” przeciwko niejasno określonej „mowie nienawiści”. Ofiarą pada tu jednak liberalnie wytyczona granica wolności słowa.

O niemożliwości wytyczenia innych granic wolności słowa niż obiektywnie ustanowione granice dotyczące zniesławienia i zniewagi pisał już Johna Sturarta Mill:

Wiele można by powiedzieć o niemożliwości wyznaczenia tych domniemych granic; gdyż jeśli ich miarą ma być obraza tych, których opinie są atakowane, to doświadczenie pokazuje, że obrażają się oni, kiedy tylko atak jest silny i celny, i że każdy oponent, który przypiera ich do muru i któremu z trudem odpowiadają, wydaje im się pasjonatem, jeśli tylko omawiając dany przedmiot zdradza głębokie uczucie⁶.

Obie sprawy miały swój początek w związku z obrazą uczuć, jakiej doznali członkowie ruchu LGBT+, ta zaś jest określona subiektywnie, co najlepiej pokazuje raport CBOS „Społeczna percepcja przemocy werbalnej i mowy nienawiści”⁷. Nie istnieje zgodność w postrzeganiu niektórych słów jako obraźliwych lub krzywdzących, chociaż na ogół respondenci właściwie identyfikują słowa obraźliwe. Zaś Polacy na ogół nie mają trudności z dostrzeganiem przejawów tego typu naruszeń w debacie publicznej, a czynnikiem decydującym o wrażliwości na takie występkę jest przede wszystkim poziom wykształcenia. Co pocieszające „ponad połowa ankietowanych (55%) stwierdza, że nie zauważyła takiej formy przemocy werbalnej”, a zdaniem większości odpowiadających na pytanie o to, gdzie można spotkać się z przemocą werbalną, 60%, respondentów odpowiada, że „wypowiedzi takich nie spotyka się wśród osób ze świata nauki”. Tyle samo osób wskazuje, że najczęściej słowa obraźliwe i wulgarne można spotkać wypisane na murach. Co ciekawe zgodnie z tym raportem „zdecydowana większość społeczeństwa (73%) jest zdania, że należy ograniczać wolność wypowiedzi, aby nie naruszać godności innych. Co szósty Polak (16%) za bliższy sobie uważa jednak pogląd, że „swoboda wypowiedzi nie powinna być ograniczana wolnością innych ludzi”. Warto jednak zaznaczyć, że raport ten ani definicja prawna nie precyzują należycie, czym są wypowiedzi „obraźliwe, wyszydzające lub krzywdzące”, pozostawiając to do subiektywnej interpretacji, co w kulturze coraz bardziej zachęcającej do czucia się ofiarą może prowadzić do wynaturzenia dyskusji, w której jednej stronie wolno jest powiedzieć wszystko, zaś druga zmuszona jest do mitygowania się pod rygiem posądzenia o dyskryminację.

Nadto wyciąganie konsekwencji w związku z tym, że zostały obrażone uczucia niektórych osób może prowadzić do prewencyjnej autocenzury, a ta może doprowadzić do tego, że zniknie korzystny wpływ ścierania się poglądów jako czegoś co pozytywnie kształtuje nie samych uczestników sporu, lecz niezaangażowanych

⁶ J. S. Mill, dz. cyt. s. 152-153.

⁷ „Społeczna percepcja przemocy werbalnej i mowy nienawiści. Komunikat z badań”, Centrum Badania Opinii Społecznej, Warszawa, maj 2007, https://www.mowanienawisci.info/wp-content/uploads/2014/04/K_074_07.pdf

weń obserwatorów. Warto być może dlatego przypomnieć słowa Johna Stuarta Milla, że chociaż w ferworze debaty po obu stronach mogą się zdarzyć przekroczenia granic poprawnej dyskusji to: „jest jednak rzeczą oczywistą, że powściągnięcie jednych i drugich nie należy do prawa i władz, opinia zaś powinna za każdym razem wydawać wyrok zależnie od okoliczności danego wypadku”⁸.

⁸ J. S. Mill, dz. cyt., s. 154.